Rok II. 15. stycznia 1928. Nr. 2.

MÓJ ŚWIATEK

Dwutygodnik.



Jeszcze w szopce.

Już dawno minęły Święta, nadeszły szare, codzienne dni... W małym wiejskim kościółku stała jeszcze niesprzątnięta szopka, a zeschłe świerki obsypywały żółtem igliwiem żłóbek Jezusowy.

Zapomnieli ludzie, że niedawno tłoczyli się wszyscy do tych stopek najświętszych i w radości wielkiej śpiewali: „Gloria"... Jezus został sam i napróżno wyciągał swoje drobne rączyny do ludzi. Ludzie o Nim zapomnieli...

Aż jednego popołudnia przyszedł do pustego kościółka mały, drżący chłopczyna. Ukląkł przy zapomnianym żłóbku Jezusowym i zapłakanemi oczyma wpatrywał się w oblicze swego Boga i Pana. A malutki Jezus zwrócił ku niemu swoje Boskie oczy i zapytał cichutko:

— Czemu płaczesz, biedny chłopczyku?

Wtedy zaczęły spadać z oczu chłopca jeszcze gorętsze, większe łzy na te wyciągnięte ku niemu rączki Jezusowe...

— Panie Najjaśniejszy! Jakże nie mam płakać... Moja matula najdroższa leży chora, a niema w domu ani czem zapalić, ani co ugotować. Tatuś już dawno w niebie, więc matula sama w domu została i kazała mi przyjść do Ciebie, Panie Najjaśniejszy, więc ratuj nas!...

A Jezus malutki zebrał w swoje Boskie rączki wszystkie łzy chłopczyny, które zmieniły się w perły najdrogocenniejsze i oddał je chłopcu, mówiąc:

— Weź te skarby dla swojej matuli, bo to twoje własne łzy.

I odszedł chłopiec rozradowany, a w opustoszałej szopince został znowu Pan Jezus maleńki i wyciągał swe Boskie rączyny do ludzi, którzy o Nim zapomnieli...

Czy przyjdzie jeszcze kto do Niego?...

A. Crucsy.

ZIMA.

Chodzi zima, chodzi zima po lesie,
Dla drzew w koszu kryształowym kwiat niesie.
Ma bielutkie, atłasowe ciżemki,
Sznurowane na lodowe tasiemki.
Ma kubraczek wyszywany perłami
I czapeczkę z śnieżystemi piórami.

Kwiatów dużo — każdy drobny, bielutki:
Anemony, bzów gwiazdeczki, stokrótki —
Płatki róży z srebrnej gazy wycięte
I rumianków frendzle miękie i kręte —
Czereśniowych lekkich puchów bez liku
Niesie zima w kryształowym koszyku.

Na koniuszkach swych ciżemek się wspina,
Drzewa w lesie w krąg ubierać zaczyna —
Szpilką mrozu przytrzymuje co cięższe,
Na gałązki sypie żywo te lżejsze. —
Ghodzi zima, drzewa stroi noc całą,
Lecz dla olchy już jej kwiatków nie stało.

Zdjęła kubrak wyszywany perłami,
Zdjęła czapkę z śnieżystemi piórami,
Ustroiła swoją własną urodą
Starą olchę, co tam stoi nad wodą. —
Ponad brzegiem siadła cicho i czeka —
Perły wody na sznureczek nawleka.

A wiatr pędzi już przez skalne przełęcze,
Już jej niesie nowych kwiatów naręcze,
Śnieżne płatki do koszyka jej prószy,
Białą czapkę jej nacisnął na uszy. —
I znów zima w swych ciżemkach z atłasu
Idzie z koszem pełnym kwiecia do lasu...

M. Czerkawska.

PRZYGODY PANA BAŁWALIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

— Hau, hau! — rozlegało się coraz bliżej i coraz groźniej. Z za drzew przydrożnych, osłaniających jakąś zagrodę, wyskoczył czarny, duży pies.

Pan Bałwaliński nadstawił z lewej strony jeden kij, a z prawej drugi, podczas gdy pies ujadał coraz zacieklej. Nie było znikąd pomocy. Nagle pies szczeknął głośniej i rzucił się na biednego pana Bałwalińskiego.

W tej samej chwili rozległo się przytłumione:

— Haau, prch! haau, prch, prch!.. To czarne psisko zakrztusiło się lodowatym śniegiem z sukni pana Bałwalińskiego i odchodziło zawstydzone, w bardzo złym humorze...

Pan Bałwaliński był ocalony. Odetchnął swobodnie i ruszył dalej w drogę.

— Proszę, proszę! — muwił do siebie. Takie czarne potwory chodzą po świecie i straszą porządnych ludzi! Nawet przejść spokojnie nie można!

Tymczasem w oddali rysowały się szare kontury zabudowań i drzew pobliskiej wioski.

Pan Bałwaliński postanowił tam iść. Nie bał się już żadnych psów, bo wiedział, że mu nic złego nie zrobią. Myślał, że najprędzej we wsi znajdzie towarzysza swojej podróży, więc pospieszał ku domostwom.

Znowu wybiegł jakiś kudłaty pies i napadł na pana Bałwalińskiego, ale ten już nawet nie bronił się wcale.

Było bardzo mroźno, więc pan Bałwaliński chciał się ogrzać troszeczkę, ale nigdzie nie mógł znaleźć domostwa, gdzie byłyby drzwi otwarte.

Wreszcie postanowił zajrzeć przez okno do jakiejś izdebki, gdzie paliło się światło. Podszedł więc do szyby i swojemi węglanemi oczyma spojrzał w głąb izby.

W tej chwili kobieta siedząca przy kominku obejrzała się, a widząc jakąś głowę za oknem, chwyciła pospiesznie miotłę i wołając na chłopca stojącego obok, wybiegła na podwórze.

Pan Bałwaliński zdążył się zaledwie odsunąć od okna, gdy w drzwiach stanęła zagniewana kobieta, wymachując groźnie miotłą.

Ale gdy zobaczyła zatrwożonego pana Bałwalińskiego, roześmiała się głośno:

— Ah, to tylko bałwan! Ale skąd on się tutaj wziął?

— Pewnie go chłopcy ulepili wieczorem — odpowiedział nadbiegający wyrostek; — jutro go rozsypią, a teraz chodźmy do izby.

I uderzywszy bałwana nogą, zawrócił z powrotem.

Pan Bałwaliński był oburzony.

— Co oni sobie myślą?! Nie zaprosili mnie do izby, a ten niewychowany chłopiec nawet nogą mnie kopnął!

I pan Bałwaliński zabrał się do łatania swojej naruszonej osoby.

Gdy już wyglądał pięknie, ruszył dalej w drogę.

Nagle stanął zdumiony. O kilkanaście kroków od niego stała biała postać, tej samej wielkości co on, z dużym kijem w ręku.

— Kto to? — spytał p. Bałwalinski.

— Jestem pan Bałwanicki — odpowiedziała tajemnicza postać; — a ty kto?

— A ja jestem p. Bałwaliński.

— Ah, witaj przyjacielu! — zawołał p. Bałwanicki i rzucił mu się w objęcia.

Po serdecznem powitaniu opowiedzieli sobie wzajemnie koleje swego życia, choć p. Bałwanicki miał niewiele do opowiadania, bo stał cały czas na temsamem miejscu.

Wreszcie p. Bałwaliński zapytał p. Bałwanickiego:

— Czy zechcesz pójść ze mną w świat?

— Naturalnie, że pójdę! Ale dokąd?

— Słuchaj! Tutejsi ludzie są niegościnni, bez wychowania, każą stać na mrozie, kopią... Ja chcę poszukać lepszych ludzi, którzy nas zrozumieją i ocenią, którzy nas przyjmą do swych domów. Przecież powinniśmy mieszkać w pałacach, a nie na podwórzu! Czyż nie jesteśmy piękniejsi niż ludzie? Któż z ludzi jest taki biały, jak my?

— Prawda... — przytakiwał pan Bałwanirki.

— Więc słuchaj! Ja chcę iść do ciepłych krajów, gdzie nie będę marzł pod drzwiami domów.

— Masz rację! — potwierdził p. Bałwanicki — ale czy wiesz, gdzie są ciepłe kraje?

— Naturalnie! tylko chodź ze mną! — zawołał pan Bałwaliński. — Ale czekaj! Patrz, widzisz te sanki pod chatą? Możemy jeszcze zabawić się trochę!

Pod chatą leżały rzeczywiście jakieś sanki, więc p. Bałwaliński zaciągnął je na małą górkę przy drodze i zjechał wesoło na dół. Ale że pan Bałwanicki nie miał ochoty do jazdy, więc ruszyli dalej pieszo, zostawiając sanki na dawnem miejscu.

Wkrótce znaleźli się poza wsią, a olbrzymia, zaśnieżona równina stanęła przed nimi. Niebo było czyste, bez żadnej chmurki, a słońce wychylało już swą główkę i zdawało się mówić ziemi: „dzień dobry".



..p. Bałwaliński zjechał wesoło na dół.

— Jak miło, jak ciepło! — mruczał p. Bałwaliński.

— Ciekawym, co powiedzą ludzie z ciepłych krajów, gdy zobaczą nas takich pięknych i białych? – pytał sam siebie p. Bałwanicki.

A tymczasem słońce wschodziło coraz wyżej na błękitne niebo i zsyłało swoje ciepłe promienie na ziemię.

Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Śnieg stawał się kleisty, szary, a wśród brózd ukazywały się małe potoczki mulistej wody.

Dwaj przyjaciele starali się wymijać kałuże i potoki wody, ale i za nimi posuwał się nieustannie wzrastający strumyczek.

— Jakżeś ty zmizerniał! — zawołał nagle p. Bałwaliński do swego przyjaciela.

— A tyś taki chudy... — zawtórował p. Bałwanicki.

Rzeczywiście, dwaj przyjaciele chudli prawie w oczach. Głowy ich straciły swój piękny kształt i ledwo trzymały się na cienkich szyjach, kije wyleciały z ich stopniałych rąk, a całe ciało schudło do niepoznania.

— Przyjacielu!... — zapłakał pan Bałwaliński.

Lecz p. Bałwanicki nie mógł już odpowiedzieć. Usiadł bezsilnie na mokrej ziemi, a głowa opadła mu na piersi.

Pan Bałwaliński usiadł przy swym przyjacielu i zapłakał gorzkiemi łzami. A strumyczek mętnej wody stawał się coraz większy, większy...

A. Crucsy

MARYSIA I KONIK.

Ogromnie lubi
mała Marysia
dużego konia
braciszka — Rysia.

Pewno zrobicie
zdziwione minki,
mówiąc: „Nie bawią
konie dziewczynki.

Ale ta właśnie
dziewczynka mała
koniecznie jechać
na koniu chciała...

Raz go dopadła
w stajni (za stołem) —
— Dalej się wspinać
na grzbiet z mozołem!

Chwyta za grzywę,
batem pogania —
— Próżno: „Zejdź, spadniesz!“
— Przestrzega niania.

Hej, dalej w drogę!
Pędź, mój koniku
przez lasy, pola!
(Po dywaniku...).

Koń na biegunach
w lewo i w prawo
skacze i skacze
wesoło, żwawo!

Rozwiana grzywa,
rozdęte chrapy! —
— Wreszcie... uderzył
o róg kanapy...

Spadła Marysia
i płacze teraz...
A brat powiada:
„Mówiłem nieraz:

„Koń nie dla dziewczyn,
baw się lalkami"!...
— No, czy ma rację?
Powiedzcie sami!...

Alina Kwiecińska.



Hej, dalej w drogę! Pędź mój koniku!

NIE UDAŁO SIĘ.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

Pan Wirski,
Janek, lat dziesięć,
Hanka, lat dziewięć,
Zosia (głos za sceną),
Barbara, stara piastunka.

(Scena przedstawia garderobę. Na środku stół, pokryty kolorową serwetą, przy nim krzesła. Drzwi na prawo, obok nich szafa, w głębi drzwi na lewo, przy nich też szafa. W bocznej ścianie okno).

SCENA PIERWSZA.

Barbara (przed szafą na prawo, trzymając w ręku kamizelkę): Czy to ta, czy to nie ta? Pan dziedzic wyraźnie powiedział: „Przynieś mi czarną kamizelkę z szafy". (Zbliża się do okna na lewo): Pewnie to ta... (Patrzy przez okno): A Jędrka jak niema, tak niema. Utrapione chłopczysko. Jak go posłać do miasta, to będzie ci siedział bez końca, a ja muszę za niego lokajować. (Spostrzega parę butów na ziemi): Patrzcie go! nawet butów panu nie oczyścił! (Kładzie kamizelkę na krześle, a bierze buty do ręki): Trzeba je dobrze wyglancować! A dostaniesz ty odemnie, jak wrócisz, poczekaj... Sprawię ja ci glansowanie, jak się patrzy. (Idzie do drzwi na lewo, z za których wyskakują Janek i Hanka).

SCENA DRUGA.

(Barbara, Janek, Hanka).

Barbara: Olaboga! a tom się przelękła! Panicz z panienką to nic nie robią, ino po całych dniach straszą a straszą... Poskarżę się wujaszkowi...

Hanka (przymilnie): Nie poskarżysz się, Barbasiu, moja złota, moja kochana!

Janek: Ot, lepiej zatańcz ze mną. (Chwyta ją wpół i zaczyna kręcić się po pokoju).

Barbara (wyrywając się): Puść mnie, puść! A, łobuzy jedne! Figle wam ino w głowie, a ja na zabawę czasu nie mam. Za Jędrka usługiwać panu dziedzicowi muszę. Ot, lepiejbyście się ubierali, bo gości tylko patrzeć. Jeno oczyszczę buty i zaniosę panu kamizelkę, to przyjdę panience zapiąć sukienkę. (Bierze buty i wychodzi).

SCENA TRZECIA.

Hanka, Janek.

Janek (śmiejąc się głośno): Jak żyję, nie widziałem takiego tchórza, jak nasza Barbasia. Wczoraj, jak wystrzeliłem jej nad uchem z torby papierowej, o mało nie zemdlała.

Hanka: Przychodzi mi cudowny pomysł do głowy. Czy słyszałeś, co ona mówiła o kamizelce wujaszka?...

Janek: Słyszałem, ale cóż z tego?

Hanka: Kamizelka wujaszka wisi w tej szafie (pokazuje szafę na lewo). Cóż, jeszcze nie rozumiesz? Barbara za chwilę przyjdzie po nią. Ty tymczasem schowasz się do środka, a jak ona drzwi otworzy, rzucisz się jej na szyję z krzykiem. A co? może zły figiel?

Janek: Znakomity! Ale dla większego wrażenia muszę się w coś ubrać. (Rozgląda się w koło). Ot, choćby w tę serwetę.

Hanka: Prędzej, prędzej! (Ściąga serwetę ze stołu i zawija w nią Janka, zostawiając mu tylko otwór na oczy).

Janek: Aj, aj, aj, ja nic nie słyszę.

Hanka: A poco masz co słyszeć. W szafie cię nie zamknę, bobyś się udusił. Przymkniemy tylko drzwi, a ty przez szparkę będziesz patrzył, kiedy ona się zbliży...

Janek: A możeby tak przyprawić sobie ten czerwony nos?...

Hanka (klaszcząc w ręce): Doskonale! Będziesz wyglądał jak prawdziwe straszydło...

Janek: Poczekaj... Zdaje mi się, że mam w kieszeni osmalony korek, którym robiłem sobie wczoraj wąsy... O... jest (wyjmuje korek z kieszeni). Wysmaruję sobie pod oczami. (Smaruje sobie twarz węglem).

Hanka: Jakiś ty straszny, jak upior jaki. No, ale wchodź do szafy, bo Barbara pewno za chwilę przyjdzie. Ja polecę tymczasem po nos... może jeszcze zdążę go przynieść. (Wybiega drzwiami na lewo).

SCENA CZWARTA.

Janek, Barbara (wchodzi drzwiami na prawo).

Barbara: Gdzież się ta kamizelka podziała? (szuka naokoło). Aha, położyłam ją na krześle. (Bierze kamizelkę do ręki).

Zosia (za sceną): Barbasiu! moja suknia! Prędzej, prędzej!...

Barbara: Olaboga! Chyba nogi dziś pogubię. (Krzyczy głośno): Zaraz, zaraz panienko, ino zabiorę panu dziedzicowi ubranie, to dostanę sukienkę ze szafy. (Wychodzi drzwiami na prawo).

SCENA PIĄTA.

Janek (sam).

Janek (wychodzi ostrożnie z szafy): Ot i nie udało się... Nie spostrzegliśmy z Hanką, że kamizelka wujaszka wisiała na krześle. Ale... ale, słyszałem wyraźnie, jak przechodząc koło szafy, wołała do Zosi, że jej przyniesie sukienkę. Przenośmy się tedy do drugiej, w której mieszczą się stroje Cioci i Zośki (przebiega pokój na palcach i otwiera drzwi do drugiej szafy): Żeby się tylko nie zatrzasnęły, bo to jakiś okrutnie niesforny zamek. Trzeba działać ostrożnie. (Wchodzi do szafy, przyciągając powoli drzwi za sobą, lecz te wyrywają mu się z ręki i zatrzaskują z hałasem). — Hanko! Oj, oj, oj, ratuj!...

SCENA SZÓSTA.

Janek (w szafie), Pan Wirski.

P a n W i r s k i (wchodzi drzwiami na lewo, ubrany w szlafrok i miękkie pantofle, twarz surowa, głos gniewny, w ręku laska, którą się podpiera): Doprosić się w tym domu niczego nie można! Jędrka niema. Barbara doreszty rozum straciła... (Zbliża się do szafy na lewo. W tej chwili drzwiami na lewo wpada Hanka. Spostrzegłszy wujaszka, chowa prędko maskę, którą trzyma w ręku, do kieszeni). Co ty chowasz do kieszeni?... Ha, no, odpowiedz.

H a n k a (zmieszana): Ja... nic, wujaszku... A wujaszek czego tu szuka?,.. Może dopomóc?...

P a n W i r s k i: — Patrzcie ją, jaka uprzejma... (Zbliża się do szafy na lewo): Nie widziałaś gdzie Barbary?... ha...

H a n k a (z przerażeniem): Jej tu niema wujaszku, ona wisi w tamtej szafie...

P a n W i r s k i: Co?... Barbara wisi w szafie?... Co to za żarty, ha?...

H a n k a (coraz bardziej zmieszana): Nie Barbara, ale kamizelka...

P a n W i r s k i: A ty skąd wiesz, że ja szukam kamizelki, co... ha?...

H a n k a (z pomieszaniem): Barbara mówiła... to jest... ja... ja... wiedziałam, że ona tam wisi...

P a n W i r s k i: W szafie cioci?... Odkądże to takie porządki? A cioci suknie w mojej, co, ha?... (Odchodzi do szafy na prawo, tymczasem Hanka zbliża się do szafy na lewo i mówi szeptem): Janku, Janku, uciekaj, wujaszek przyszedł... Boże, czego on nie wychodzi, on może umarł?

P a n W i r s k i otwiera drzwi do szafy, z której z krzykiem wyskakuje Janek i rzuca mu się gwałtownie na szyję, przyczem serweta spada mu z głowy. Na widok Pana Wirskiego Janek odskakuje w tył, z krzykiem: Ach, to wujaszek!

P a n W i r s k i (z gniewem): Co to za figle, ha?... Smarkaczu jeden (do Hanki): Toś ty mi naumyślnie naopowiadała o mojej kamizelce w szafie cioci, żeby Janek mógł mnie przestraszyć. Ależ, to przechodzi pojęcie. (Stuka laską o ziemię).

H a n k a (z płaczem): Nie, nie, wujaszku... Myśmy chcieli nastraszyć Barbarę. Janek był w tamtej szafie... Ja nawet nie rozumiem, skąd on się tu wziął...

J a n e k: Hanka mówi prawdę, wujaszku. Ona nic nie wiedziała, że ja tu jestem...

SCENA SIÓDMA.

Pan Wirski, Janek, Hanka, Barbara (wpada zdyszana, na widok Janka z krzykiem: „Olaboga“, zaczyna uciekać).

P a n W i r s k i: Stójże, Barbaro, przecież to Janek przebrany. — Zwarjowała baba, czy co?...

B a r b a r a: A dyć to mój panicz złoty, ale się też wymazał... A tu goście mogą za chwilę przyjechać. Pewno jaki nowy figiel, co?...

P a n W i r s k i: Śliczny figiel, mądry figiel, tylko **nie udało się**, bo zamiast Barbary, którą chciał przestraszyć, zjawił się wujaszek. Ale dosyć już tego (stuka laską o ziemię). Marsz do pokoju na górę. Posiedzicie tam do wieczora, a co pomyślą wasi goście, to już wasza rzecz.

J a n e k: Wujaszku, daruj nam!...

H a n k a: Taki wstyd, taki wstyd...

P a n W i r s k i: Ale dokuczać i straszyć starą piastunkę, która mogła chorobą wzruszenie przypłacić, to nie wstyd?... Co... ha...

B a r b a r a (schylając się do ręki Pana Wirskiego): Niech im też wielmożny pan przebaczy... Dzieciska poczciwe, a że to młode, to i pstro w głowie...

P a n W i r s k i: Jeżeli przebaczam, to ze względu na prośby Barbary.

(Dzieci rzucają się kolejno na szyję Barbary): Przebacz nam Barbasiu, moja złota, moja kochana, już nigdy ani ciebie, ani nikogo straszyć nie będziemy...

P a n W i r s k i: Mam nadzieję, że nauka nie pójdzie w las... No, a teraz ubierajcie się prędzej. Barbaro, wyszoruj porządnie tego kominiarza, ale powiedz mi wreszcie, gdzie jest moja kamizelka?

B a r b a r a: A dyć na górze w pokoju..! A to wszystko przez tego nicponia Jędrka.

(Kurtyna spada).

J. Brudnicka.

CZY LUBICIE CZYTAĆ WESOŁE POWIASTKI?

Jeśli tak, to postarajcie się o książeczkę p. t. **„Fifinka“**, napisaną przez p. Buyno-Aretową i wydaną w warszawie w księgarni Arcta.

W książeczce tej zapoznacie się z dziewczynką, która niby to lubi uczyć się, ale nie tego, co jej polecają. Uważa n. p. za niepotrzebne zapamiętać nazwę ulicy przy której mieszka... „Taka duża, szeroka, z samochodami i dorożkami“ — to wystarcza i widać, że niepojętnym jest ten pan, który jej nie rozumie. Francuskiego uczy się Fifinka w ten sposób: „lampa — la lamp, dama — la dam, żaba — la żab, gapa — la gap“ i bardzo z tego dumna.

Przeczytajcie — a dowiecie się jak to Fifinka jechała pociągiem, nie mając biletu, jak uciekała przed zgrają rozpieszczonych piesków, jak rozmawiała, siedząc pod słołem w cudzem mieszkaniu i jak wreszcie skończyły się te straszne przygody.

ŁAMIGŁÓWKI.

FIGIELEK
(uł. Janka Bieniarzówna).

Co jest uajwięcej podobne do niedźwiedzia?

ŁAMIGŁÓWKA
(uł. Hela Kistelska).

Z następujących sylab ułożyć 5 wyrazów, których początkowe wyrazy dadzą nazwę starego zamku królewskiego, a ostatnie imię legendarnej księżniczki polskiej.

Sylaby: ed, lal, ry, nów, a, ka, mund, wi, ka, wrzyn, me, la, wa.

SZARADA
(uł. Hela Kistelska).

Pierwsze wspak — skorupiak.
Drugie — mówi mała Hania,
Gdy dziękuje lub się kłania.
Trzecia zgłoska — to zaimek.
Całość — góry w Polsce znane
Przez was często wspominane.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.
(uł. Janka Bieniarzówna).

Z podanych sylab ułożyć 7 wyrazów, których litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię rzeki wypływającej z Tatr.

Sylaby: ral, men, du, a, sej, el, cze, n, ka, naj, nie, ma, je, ba, re, zon, mosz, ni.

Znaczenie wyrazów: 1) Rzeka, nad którą leży Wiedeń. 2) Rzeka wpadająca do morza Kaspijskiego. 3) Rzeka litewska. 4) Najw. rzeka na świecie. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Dopływ Prutu.

Rozwiązania łamigłówek z Nr. 5-go I.

BILETY WIZYTOWE.

Australka.
Amerykanka.
Induska.

ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA.

Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

TREŚĆ:

A. Crucsy: Jeszcze w szopce str 9. — M Czerkawska: Zima, 10. — A Crucsy: Przygody pana Bałwalińskiego, 10. — A Kwiecińska: Marysia i konik, 12 — J Brudnicka: Nie udało się, 13 — Czy lubicie czytać wesołe powiastki, 16. — Łamigłówki, 16.

Warunki prenumeraty „Mojego Światka“ od 1. września 1927 do dnia 1. stycznia 1928 zł. 1·50. Dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ zł. 1·20. Numer pojedynczy 20 groszy, dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ 15 groszy. W Ameryce kosztuje „Mój Światek“ rocznie 1 dolara. — Kto pragnie nadal otrzymywać „Mój Światek, niech nadeśle prenumeratę!

Adres Redakcji: Kraków, Starowiślna 3.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.